



Stanisław Lem
w swoim mieszkaniu
w Krakowie, 2005 r.

© TOMASZ TOMASZEWSKI/FORUM

MIĘDZY
NARODOWE
CZYTANIE

Maszyna do czytania

Z Lemem pisarzem konkurować mógł tylko Lem czytelnik. Gdybyśmy akcję Międzynarodowego Czytania – promującą lektury o współczesności – przenieśli w przeszłość, wystarczyłaby jego lista lektur.

BARTEK CHACIŃSKI

S tyl swojej pracy tłumaczył prosto: „Krowa daje mleko, które nie powstaje przecież z niczego. Jednak tak jak krowa, żeby ją można wydoić, musi jeść trawę, tak ja muszę pochłaniać duże ilości prawdziwej (czyli niewymyślonej przeze mnie) literatury naukowej wszelkiego rodzaju”. To słowa z opublikowanego po niemiecku eseju Stanisława Lema „Przypadek i ład”. Pisarz snuł w nim dalsze porównania: że książki są dla niego jak to rusztowanie ze znalezionych przedmiotów, które w psychologicznych

eksperymentach budowała małpa, żeby sięgnąć po banana. Albo że zbiór wiedzy książkowej jest jak rezerwuár w klozecie – trzeba go wypełnić, żeby popłynął odpowiedniej mocy wodospad. „Kiedy do spłuczki sięgnie się zbyt wcześnie, wodospad będzie nie taki jak trzeba”.

Przy okazji setnej rocznicy swoich urodzin Lem, prywatnie pasjonat motoryzacji, mógłby napisać, że cała jego działalność była jak hybryda – trzeba spalić trochę tradycyjnego paliwa, podjechać starym mercedesem po gazety do hotelu Cracovia lub Forum po świeżą prasę i przerzucić stertę zaprenumerowanych

magazynów naukowych, żeby później pojechać na bezgłośnym i nowoczesnym napędzie elektrycznym fantazji i futurologii. – *Rzadko widywałem go bez gazety lub książki w rękach* – mówi wieloletni sekretarz pisarza Wojciech Zemek, który jak mało kto poznał zbiory książek Lema w jego dwóch kolejnych krakowskich domach. – *A była jeszcze minibiblioteka w sypialni i zestaw najczęściej czytanych książek przy biurku. Reszta bez jakiegoś szczególnego rygoru i porządku.* Do tego mnóstwo tytułów prasowych – jeden z nich, „New Scientist”, chwalił się nawet przy okazji swojego jubileuszu, że na jednym ze zdjęć Lema widać na biurku egzemplarz gazety.

W ostatnich latach życia Lem rzadko zaczynał felieton bez jakiegoś odwołania do prasy: „International Herald Tribune» przynosi artykuł...” albo „W numerze kwietniowym »Scientific American«...”. W wywiadach rozpoczynał odpowiedź od „Czytałem w »Sternie«...”. Albo: „Mam tu na biurku majowy numer »Heralda«...”.

Zresztą – jak wspomina Tomasz Lem w biografii ojca „Awanturny na tle powszechnego ciężenia” – często zmieniał dziennikarzom pytania po to, by odpowiedzieć na to jego zdaniem właściwe, ciekawsze. Stanisław Bereś, autor tomu rozmów z Lemem, mówi nawet o przypadkach, gdy pisarz bezceremonialnie wyjmował aparat słuchowy, żeby pokazać, że pytań nie słucha. „Niekiedy na marginesie wspominał, że tak wyczerpujące odpowiedzi aż proszą się o wynagrodzenie i w najbliższej przyszłości sprawi sobie stosowny, przykręcany do stołu taksometr” – opowiada Tomasz Lem. Bywało zresztą, że jego ojciec w jesieni życia – raczej po to, żeby ograniczyć liczbę natrętów – rzeczywiście proponował taryfikację za rozmowy.

Charakter takiej transakcji był zresztą jasny: Lem dzielił się swoją wiedzą, cytatami (z pamięci), wnioskami z licznych przeczytanych książek i umiejętnościami tłumacza. Te ostatnie nie dotyczyły tylko języków – choć pisarz regularnie czytał po angielsku, rosyjsku, niemiecku i francusku (znał jeszcze ukraiński i łacinę). Przede wszystkim tłumaczył wzajemnie na siebie cywilizacyjne osiągnięcia Wschodu i Zachodu. Całe serie felietonów Lema to dialogi między „Scientific American” czy „Nature” a rosyjską „Prirodą”.

Służył też jako pomost między humanistami a reprezentantami nauk ścisłych. „Dlaczego Lem tak bardzo różnił się zarówno od innych pisarzy science fiction na świecie, jak i od pisarzy w Polsce *en masse*?” – zastanawia się Wojciech Orliński w książce „Lem. Życie nie z tej ziemi”. „Bo intelektualnie ukształtowały go inne lektury. Czytał to, co rekomendowali mu [Jerzy] Turowicz i [Mieczysław] Choynowski, a więc był lepiej zorientowany w światowej nauce od przeciętnego polskiego pisarza, a także w humanistyce od przeciętnego pisarza science fiction”.

Nieźle oddaje tę pozycję tekst „Fizyka pola i poezja”, w którym nieco protekcjonalnie spogląda Lem na literatów – Juliana Przybosa i Jana Kotta – zachwycających się opracowaną przez Heisenberga jednolitą teorią pola. „Faktycznie – czym jest sztuczka teatralna, dramat albo powieść o różnych ludzkich sprawach wobec jednolitej teorii pola?” – pyta Lem. „Niczym. Co więc winni zrobić literaci? Rzucić swoje niedouczzone bazgroły i zapisać się jako wolni słuchacze na wydział fizyki teoretycznej. Innego wyjścia nie widzę – jeśli bowiem zechcieliby, zapłodnieni wieścią o odkryciu profesora Heisenberga, pisać o jednolitej teorii pola – staną się rzeczy niebezpieczne”.

Rolę bezpiecznego medium w dialogu ze światem nauki Lem rezerwował oczywiście dla siebie. I zapewniał ten kontakt, nawet w najtrudniejszych czasach głębokiej izolacji, kiedy to – jak wyznawał Tomaszowi Fiałkowskiemu („Świat na krawędzi”) – wybierał tytuły z paczek przesyłanych prof. Choynowskiemu, szefowi słynnego Konwersatorium Naukoznawczego

na UJ: „Choynowski, nakręcony dziką sprężyną umiejętności organizacyjnych, zwracał się do uniwersytetów amerykańskich i kanadyjskich, żeby nas intelektualnie ratowały, bo jesteśmy po okupacji straszliwie wyposzczeni. (...) Wybierałem co lepsze – a to Norberta Wienera »Cybernetykę«, a to Shannona »Teorię informacji« – i ze słownikiem przedzierałem się przez nie całymi nocami. Silny byłem wtedy jak dwa lub trzy konie”.

Później literaturę – tony książek, jak mówi Wojciech Zemek – zdobywał już samodzielnie. Albo z pomocą zagranicznych przyjaciół, choćby tłumacza Michaela Kandla. „Dla Lema »Nature» czy »Scientific American« były zdobywanym z trudem zakazanym owocem, podczas gdy jego zachodni koledzy po fachu, tacy jak Arthur C. Clarke czy Isaac Asimov, mogli sobie te tytuły kupić w byle kiosku razem z paczką papierosów. Może właśnie dlatego Lem czytał je uważniej” – zauważa Orliński. „Lem, po pierwsze, zawsze był »czcicielem«, a nie tylko »pisatelem«, po drugie zaś – nie czytał streszczeń, tylko całość”.

Świetnie szło Lemowi czytanie samego siebie. Może dlatego, że swój traktat filozoficzny o rozwoju technologii napisał wcześniej – na początku lat 60. Ukazał się w 1964 r. jako „Summa technologiae”. I wygląda na to, że ta wizjonerska książka, której „przynależności gatunkowej sam nie umiał określić” – jak przyznał później (w niepublikowanym za życia eseju „Historia jednego pomysłu”) – była pozycją, do której odwoływał się najregularniej. Kilka lat po jej wydaniu notował: „Nie od rzeczy będzie wyznać, że z mieszanymi uczuciami czytam teraz książki futurologiczne, bo wrażenie, że spotykam fragmenty powymowiane z mojej »Summy...«, bywa w lekturze autorów, jak A. Toffler, Gordon R. Taylor czy J. Fourastier – nieodparte”. Przyznawał jednak wspaniałomyślnie, że „taka równoległość myśli krzepi”. Znacznie później, w pełnym pesymizmie tomie „Okamgnienie”, ten ton wracał. Lem przypominał, że znajdował się przez lata w sytuacji izolowanego przez ustrój autora, publikacji „Summy...” towarzyszyła „błoga cisza”, a potem „na problemy, jakie przed kilkudziesięciu laty omawiał samotnie, rzuciły się ze szczególną skwapliwością, podjudzaną ogniem mody, hordy laików oraz ignorantów”.

„Summa...” miała i krytyków – tak poważnych jak sam Leszek Kołakowski, który zarzucał jej łączenie fantazji z rzeczywistością. Na to Lem odpowiadał (w „Historii...”) długim wywodem o tym, że „hipotezy, artykułowane w trybie »dozwolonej blagi« były potwierdzane przez realne zdarzenia w świecie częściej niż dyskursywne sądy formułowane z ostrożną rozwagą”. Kołakowskiemu przeszkadzały m.in. „bajkowe” wywody dotyczące hodowli informacji, klonowania żywych organizmów czy tworzenia bytów fantomatycznych, nieodróżnianych od rzeczywistości (co było wielokrotnie przywoływane jako lemowska wersja *virtual reality*). Czyli opisy zjawisk, które Lem trafnie przewidział.

Dziś w tych opisach uderza najbardziej nie to, że Lem wyprorokował tu przyszłe technologie, tylko że wymyślił dla nich zastosowanie. „Mózg (...) człowieka winniśmy podłączyć do maszyny, która posyła weń określone zespoły bodźców węchowych, wzrokowych itp. Dzięki temu będzie stał na szczytach piramid lub leżał w objęciach miss świata roku 2500 albo niósł na ostrzu noża śmierć zakutym w stal wrogiom” – w tych zdaniach rzeczą dość banalną jest fakt, że pisarz opisuje złudzenie rzeczywistości, dostępne dziś w wydaniu domowym. Błyskotliwsze wydaje się to, że niby mimochodem Lem zauważa, że jeśli już rzeczywistość wirtualna wejdzie do użycia, najpotrzebniejsza będzie jako zamiennik zwiedzania świata, nośnik pornografii albo wehikuł dla gier strzelanek, których przecież w latach 60. nie znano. Siłą Lema jako pisarza było to, że w swoje przepowiednie wierzył i zasiliał się w zaskakująco dużym stopniu własnymi pomysłami z „Summy...”. A szczytem zainteresowania własną twórczością ►

► była niewykorzystana przez syna gotowa praca maturalna, którą Stanisław Lem napisał o... „Cyberiadzie” Stanisława Lema. Książce, która skądinąd swoją wizję królestwa w miniaturze zainspirowała całą gałąź gier wideo serii „Sims”.

Rankingu książek polecanych Lem nie prowadził. Bez entuzjazmu przyjąłby zapewne samo hasło „rankingu”. Choć taki kanon lektur opracowali jego fani z forum na stronie lem.pl, zbierając w jednym miejscu książki, do których się odnosił. Poza tym dokładnie taką rolę odgrywała seria „Stanisław Lem poleca”, publikowana przez Wydawnictwo Literackie od połowy lat 70. Tutaj znalazło się miejsce dla pierwszego polskiego wydania Philipa K. Dicka („Ubik” – tu czytanie wyprzedziło pisanie, bo książki Dicka były inspiracją dla „Kongresu futurologicznego”) oraz dla „Niesamowitych opowieści” Stefana Grabińskiego – jednego z ulubionych pisarzy Lema od czasów gimnazjum. Wznowione po latach nowele „polskiego Lovecrafta” przyczyniły się do renesansu jego popularności. Podobnie ważną pozycją był „Piknik na skraju drogi” braci Strugackich, którego publikacja wyprzedziła u nas w ten sposób głośną ekranizację – film „Stalker” Andrieja Tarkowskiego (tego samego, który przeniósł na ekran „Solaris” Lema). I wreszcie „Czarnoksiężnik z Archipelagu” Ursuli K. Le Guin. Pozycja, która ostatecznie wyszła poza serię, zawieszoną m.in. z powodu osób tłumaczy. Powieść Le Guin przełożył Stanisław Barańczak, już wtedy działacz opozycji, współzałożyciel KOR. „Lem próbował użyć swoich wpływów, żeby książka się ukazała podpisana nazwiskiem żony Barańczaka, i przez chwilę wydawało się w 1977 r., że to jest możliwe do załatwienia. Gotowy do druku skład »Czarnoksiężnika z Archipelagu« trzeba jednak było rozsypać” – opisuje Wojciech Orliński. „Rozwścieczony Lem ogłosił w sierpniu 1978 r., że zrywa wszelką współpracę z Wydawnictwem Literackim”.

Widać więc, że na serii Lemowi zależało. Był z niej zadowolony. A z perspektywy czasu jej zawartość wydaje się niezłym, mistrzowskim wstępem do różnych konwencji fantastyki. Zebrane dziś na nowo w tomie „Diabeł i arcydzieło” eseje o literaturze potwierdzają z kolei, że przez kilka dekad Lem był też bardzo ważnym czytelnikiem literatury głównego nurtu. I tak pastwił się np. nad karierą skandalizującego i obscenicznego „Malowanego ptaka” Jerzego Kosińskiego, za jaką obciążał literaturoznawstwo, zamknięte na „niższe rejony piśmiennictwa” – bo główny nurt nie podniecałby się Kosińskim w podobnym stopniu, gdyby śledził pilniej literaturę gatunkową. Lem pisał o tym w 1968 r., trzy lata po angielskim wydaniu książki Kosińskiego i na dwie dekady przed wydaniem polskim. Jednocześnie czytał i analizował „Upadek” i „Dżumę” Camusa, „Zbrodnię i karę” czy „Braci Karamazow” Dostojewskiego. Uwielbiana „Lalkę” Prusa – „ze 40 razy”.

Za to nie był przekonany do twórczości Olgi Tokarczuk, a „Trylogię” Sienkiewicza omawiał wraz z proponowanym montażem fragmentów, które warto czytać, i tych, które lepiej pominąć. Nie czytał na pokaz – może poza incydentem, z którego zwierzył się Tomaszowi Fiałkowskiemu, kiedy to przeschmuglował z Niemiec zachodnich do wschodnich sztuczne futro dla żony, zasłaniając się rozłożoną płachtą „Prawdy” – żaden z celników nie ośmielił się nawet podejść. Ale zdawał sobie sprawę, że stara literatura niekoniecznie odpowiada współczesnemu tempu życia.

Niecierpliwość objawiała się u niego pod postacią „lektury diagonalnej”. „Według ojca była to metoda pozwalająca na zapoznanie się nie tyle z treścią, ile istotą książki lub artykułu w ciągu

kilku minut – i być może czasami rzeczywiście się to udawało” – opisuje Tomasz Lem. „Częściej jednak owocem czytania diagonalnego były takie dialogi: – Staszku, jak ci się podobał artykuł pana X o Giedroyciu w »Tygodniku Powszechnym«? – Jaki artykuł? – Ależ Staszku, tam jest cała wkładka poświęcona Giedroyciowi! – Ostatni numer »Tygodnika« widocznie czytałem diagonalnie – odpowiadał ojciec, drapiąc się w głowę”.

Jego opowieści o lekturach są warte przypomnienia choćby dlatego, że często wyprzedzały szerszą dyskusję. Kapitalna analiza „Imienia róży” Umberta Eco ukazała się u nas na kilka lat przed samą książką, czytana przez Lema „w doskonałym tłumaczeniu niemieckim, a potem wrywkami w angielskim, nieco gorszym”. Jako człowiek utrzymujący kontakt ze światem i bywały Lem miał dostęp do takich lektur. Z targów we Frankfurcie donosił: „Uderzył mnie (...) przedziwny sukces książek pani Rowling, opiewających czarodziejskie umiejętności uzyskane przez

malca zwanego Harrym Potterem”. Ale był 2000 r. i tu już Lem przestawał znacząco wyprzedzać rzeczywistość – pierwsze polskie wydanie książek J.K. Rowling miało się ukazać jeszcze w tym samym roku.

Na przełomie wieków przestał być problemem ograniczony dostęp. Kapitalistyczny impuls wprowadzał kolejne tytuły na rynek, a potem wszystko zaczęło trafiać do internetu. Kończyły się tym samym zbudowane na dostępie kariery – dziennikarze stali się bliżsi całej reszcie, krytycy przestali streszczać zachodnie bestsellery, radiowym prezenterom trudniej było zaskoczyć wyedukowaną w sieci publiczność.

Oczywiście masowo narzekamy na spadające nakłady gazet po 1989 r. i niskie czytelnictwo książek, ale rzadziej przypominamy sytuację startową: permanentny niedobór bodźców czasów PRL, kiedy dawało się momentami nadażyć za wszystkimi ważnymi premierami wydawniczymi. Transformacja oznaczała eksplozję wydawniczą i dystrybucyjną – łatwiejszy dostęp do wszystkiego. „Przez kilka lat po upadku socjalizmu maniakalnie czytałem zagraniczne periodyki naukowe” – pisał Lem w jednym z ostatnich tekstów. Otoczył się więc teraz górami papieru „z postkomunistycznej pazerności”. Bo skoro wcześniej zakazane było wszystko – i twarda naukowa literatura z Zachodu, i hard porno – to trzeba poznać jedno i drugie. I jeszcze telewizję satelitarną, co Lem opisywał w „Rozkoszach postmodernizmu”.

Zeszyty i książki piętrzyły się na biurku, a pisarz – ten sam, który skrawki wiedzy, racjonowane niegdyś przez empik, wykorzystywał do ostatka – nie był już w stanie wchłonąć ich zawartości. Pod koniec życia wracał więc do metafory ze starszego tekstu: porównywał próbę ogarnięcia stanu współczesnej wiedzy z sytuacją człowieka, który na dworcu chce dogonić wiele pociągów odjeżdżających w różnych kierunkach. Ta metafora pokazywała dylemat Lema jako superczytelnika, przerabiającego dla innych światową mądrość: do pewnego momentu stan specjalistycznej wiedzy w poszczególnych dziedzinach byłby w stanie kontrolować pojedynczy człowiek, teraz już nie. Lem, który w połowie lat 60. wiedział, w jaką stronę zmierza świat, 40 lat później nie wierzył już – jak się zdaje – w możliwość przedstawienia precyzyjnej diagnozy.

BARTEK CHACIŃSKI

Tegoroczny finał Międzynarodowego Czytania – wspólnej akcji POLITYKI i Teatru Studio – już 5 września (szczegóły: placdefilad.org). Poza listą polecanych książek będzie się można zapoznać m.in. z dokumentem Borysa Lankosza „Autor »Solaris«” o Stanisławie Lemie.

Partnerem akcji Międzynarodowe Czytanie 2021 jest ZAiKS.